

WIECZORY RODZINNE,

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.

NORDENSKJÖLD.

W naszych czasach podróżnicy z nieustraszoną odwagą zapuszczają się w okolice nieznanne, w dwóch kierunkach przeciwnych. Jedni dążą na południe, narażając się na palące skwary pod samym równikiem, drudzy zbliżają się do bieguna północnego, walcząc z mrozem straszliwym. Dotąd jednak, pomimo tych usiłowań, nikt jeszcze do samego bieguna dotrzeć nie zdołał.

Trudno stanowczo twierdzić, co jest trudniejsze do zniesienia dla mieszkańców stref umiarkowanych, czy nadzwyczajnie zimno, czy gorąco. To pewna, że pod samym nawet równikiem mieszkają ludzie, a pod biegunem trudno przypuścić, żeby się jaka żyjąca istota utrzymała. Z najdzikszej puszczy zwrotnikowej człowiek, byle zdrow i silny, zawsze się jakoś wydobyć może; ale w podbiegunowych okolicach, gdy mróz zetnie lodem całe morze, okręt jest uwieczony na długie miesiące i śmiały żeglarz musi czekać w bezczynności, aż pękną te nieprzebyte zapory.

To też sądzimy, że większą na to jeszcze potrzeba odwagi, aby się wybrać do stref lodowych, aniżeli do środkowej Afryki. Podajemy wam dziś wizerunek jednego z tych nieustraszonych podróżników, którzy śmiało stawiają czoło mrozom północnym.

Adolf Eryk Nordenskjöld, (czytaj Nordenszeld,

co znaczy po duńsku: tarcza północy) urodził się w r. 1832. Ojciec jego był naczelnikiem górnictwa w Finlandyi, z tego powodu zapewne młodzieniec wcześniej bardzo zasmakował w nauce mineralogii i już w czasie pobytu w gimnazjum w Borgo i w uniwersytecie w Helsingforsie, odbywał wycieczki w różne okolice Finlandyi, gdzie tylko mógł oglądać osobliwości mineralne.

Po ukończeniu nauk przeniósł się do Szwecyi i był tam mianowany profesorem i dyrektorem zbiorów w mineralogicznych. Nie zaspokoilo to jednak czynnego i przedsiębiorczego jego umysłu, ciągle marzył o dalekich podróżach do krain podbiegunowych i gdy się pierwsza ku temu nadarzyła sposobność, nie omieszkał z niej skorzystać.

Nordenskjöld kilka razy odbywał podróż do Szpicbergu w celach naukowych i przekonał się, że okręt może przezimować na dalekiej północy i saniami odbywać tam można wycieczki. Wypróbował zaprzęgi psów i reniferów, zwiedził Grenlandyę i dokonał wielu zajmujących spostrzeżeń.

Później zwrócił się w inną stronę, i postanowił wyszukać drogę wschodnią do Azji, płynąc wzdłuż północnych wybrzeży Europy.

Nie udało mu się to odrazu. Parę razy dotarł tylko do ujścia rzeki Jenisseju, i tą samą drogą powracał, ale nakoniec w r. 1878 wyruszył na okręcie Wega, z mocnym postanowieniem dostania się aż do cieśniny Beryngskiej. Pomysłny skutek uwieńczył usiłowania śmiałego podróżnika.



Nordenskjöld.

Wypląwszy z portu Gotenburskiego 4 Lipca, Wega płynęła wytrwale pośród lodów, zatrzymując się od czasu do czasu, gdy przeszkody stawały się za trudne do przebycia, nakoniec dnia 28 Września lody pływające dokoła połączyły się w jedną masę i uwięziły okręt zupełnie, tak, że już nie mógł się z miejsca poruszyć.

Przymusowa ta zimowla zaskoczyła podróżników w części cieśniny Beryngskiej najbardziej na północ wysuniętej, byli więc już blisko celu. Na szczęście okręt był wybornie zaopatrzony, żywności nie zabrakło, ani odzieży, opał wystarczył na całą długą zimę. Łąd był bardzo niedaleko i mieszkający tam krajowcy, Czukczowie, zbliżali się niekiedy do okrętu. Nie wiele jednak doznali podróżnicy pomocy od tych ludzi, którzy są prawie zupełnie dzicy.

Dopiero 18 Lipca następnego 1879 roku, lody puściły na znaczniejszej przestrzeni morza i Wega mogła wypłynąć znowu, a w parę dni powitała salwami i wywieszeniem flagi narodowej wysunięty kraniec Azji. Od lat trzystu przeszło żeglarze rozmaitych narodowości próbowali przepłynąć tą drogą z Europy do Azji, pierwszy Nordenskjöld dokonał tego przedsięwzięcia.

2 Września dopłynęła Wega szczęśliwie do japońskiego portu Jakohamo, gdzie wypoczywała parę tygodni i inną już drogą, okrążając południowe wybrzeża Azji i przepływając przez kanał suezki, powróciła do Szwecji.

Niestrudzony Nordenskjöld zamierza wkrótce puścić się znowu na morza podbiegunowe.

GAWĘDA O BOCIANIE.

Wiatr chłodno westchnął i mgłami kręci,

Zima już blisko, oj blisko!

Bocian poważny, stróż sianozęci,

Rozpuszcza skrzydła, tumani, męci,

I zwolna płynie na rżysko.

Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży

I zamknął poważnie oko.

Snadź syn litewski marzy głęboko

O swój zamorskiej podróży.

* * *

„Miłoś to lecieć w auzońską stronę,

Miło coś widzieć i wiedzieć,

A rozważając trudy niesione,

Pładować Nilu brzegi zielone,

Na piramidzie posiedzieć!

Lecz ach! wiadomo jednemu Bogu,

Czy ujdę śmierci lub klęski?

Czy wrócę jeszcze w kraj nadniemeński?
Siądęż na kupie murogu?

* * *

O błonie Litwy! cudneż to błonie!

Tu wszystko szczęściem rozmarzy,

Słonko ciepłuchne, sianozęć wionie,

Dziatwa klekoce, a tam na stronie

Słychać brząkanie kosarzy.

Słodkoż to było! — Bóg wie, co dalej?

Czy wracać będzie już po co?

Może dąb z gniazdem zamieć obali,

Lub kry wiosenne zgruchocą?

* * *

Lepiejby swemi czuwać oczyma

W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele.

Lecz piersi czują, że idzie zima,

Na żółtęj łące już zeru niema,

Za chwilę śnieg ją zaściele!”

I ptak — opiekun błoni ojczystej,

Wyprężył dziób swój czerwony,

Podbiegł — rozwinął lot zamaszysty...

Uleciał w auzońskie strony.

Syrokomla.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 6 Października 1675 roku. Jan III-ci Sobieski dopiero co okrzyknięty był królem na sejmie elekcyjnym, jeszcze nie miał czasu czoła ustroić koroną, jeszcze obrzęd koronacji się nie odbył, gdy smutna wieść po kraju się rozbiegła, że Turcy wkroczyli w granice Rzeczypospolitej, zajęli Podhajce i spalili je do szcztu, potem Zawale oblegli i toż samo z niemi zrobili, następnie podstąpili pod Trembowłę, jedno z najdawniejszych miast Rusi Czerwonej.

W pobliżu miasta, na wysokiej, stromiej górze, wznosił się zamek drewniany, otoczony dokoła murem, z wieżą wysoką: była to twierdza, która strzegła wnijsia do starego grodu. Komendantem twierdzy był wówczas niejaki Samuel Chrzanowski. Ujrzawszy nacierającego nieprzyjaciela, uzbroidł on załogę, kazał wytoczyć działa na mury, zakupił proch, żywność i mieszkańcom Trembowli polecił schronić się do zamku. Wszelkie ostrożności, wszelkie przygotowania do obrony poczynił, ale nie miał wielkiej nadziei, aby mógł ocalić miasto zagrożone. Załoga jego była szczupłą, mieszkańcy Trembowli nieliczni, a Turków ciągnęła moc wielka, a posiłków od króla nie spodziewał się, bo nowo obrany pan zajęty był zapewne uroczystością koronacyjną; tak przynajmniej przypuszczał Chrz-

nowski, jednak poddać twierdzy bez walki, nie spróbowawszy pierwój sił swoich, ani myślał.

Nadciągnęli Turcy, rozbili w pobliżu namioty, potem otoczyli dokoła wzgórze, na którym zamek się wznosił. Zagrzmiały działa, o mury Trembowli tureckie granaty uderzyły, 325 pocisków rzucono na zamek, ale zamek nie upadł, mocno był zbudowany, bronił go dzielnie Chrzanowski, i pilnie baczył, aby pociski pożaru nie podnieciły. Minął dzień jeden, drugi, trzeci, Turcy, mimo sił olbrzymich, jeszcze go niezdobyli, Trembowla opierała się ciągle, jednakże trudno było się ludzi, aby opierać się mogła długo. Brakło już prochu, żywności, Chrzanowski widział z bólem, że jeszcze dni parę, a nie będzie czém strzelać i czém nakarmić żołnierzy, wtedy Turcy zdobędą twierdzę, a mszcząc się za długi opór komendanta, spalą Trembowlę, jak spalili Podhajce i Zawale, mieszkańców zapędzą do niewoli.

Przewidując tak smutny los dla miasta, jeśli dłużej opór stawić będzie, Chrzanowski postanowił wejść w układy z wrogiem, oddać mu miasto, ale dopiero wtedy, gdy Ibraim Szyszman, wódz turecki, przyrzecze, iż go nie zniszczy i mieszkańcom nie uczyni żadnej krzywdy.

Załoga zgodziła się z wolą komendanta i biała chorągiew pokoju wywieszoną została. Właśnie Chrzanowski, korzystając z przerwy walki, zasiadł ze starszymi załogi, by radzić, kogo wysłać w poselstwie do obozu tureckiego, gdy wtém drzwi komnaty, w której się zebrali, skrzypnęły i w progu ich ukazała się postać niewieścia. Była to żona komendanta, Zofia Chrzanowska. Szła blada, poważna, do stołu, przy którym siedzieli mąż i starszyzna, w rękę nóż trzymała. Spojrzeli na nią zdziwieni panowie, ona stanęła przed nimi i rękę ze sztyletem do męża wyciągnawszy, rzekła:

— Ciebie i siebie tym nożem przebiję, jeśli poddasz twierdzę. Gińmy, jak zginęły Podhajce i Zawale, ale nie rzucajmy plamy na nasze nazwisko, innym przykładu złego nie dawajmy.

Słowa te zawstydziły komendanta, dał natychmiast rozkaz, by zdjąć białą chorągiew; rozgniewani Turcy na nowo szturm przypuścili, z podwójną wściekłością dobijali się do zamku, ale zamek się bronił; rycerze, podnieceni przykładem dzielnej niewiasty, znosili głód i walczyli mężnie.

Było to 6 go Października, Turcy skupiwszy wszystkie siły, uderzyli na twierdzę, dziś koniecznie postanowili ją zdobyć. Zagrzmiały działa, zaświstały strzały, załoga Trembowli zanuciła hymn pobożny. Bóg ją chyba cudem uratuje, prochu już niema, żywności także, niepodobieństwem był dalszy opór; każdy śmierci był pewien, ale o poddaniu się ani myśłano.

Naraz na murach zamkowych rozległ się krzyk radosny, broniący zamku ujrzeli z dala nadciągającą pomoc; to król śpieszył z rycerstwem, dzielny Jan III. Posłyszawszy o wkroczeniu Turków do kraju, odłożył koronację na później, zebrał rycerstwo i na Ruś Czerwoną podążył. Spostrzegłszy go, Turcy nie czekali poddania twierdzy, pierzchli natychmiast, w godzinę potem nie było ich już pod Trembowlą, a przed końcem Października ani jeden Turek nie został na Rusi, wojska królewskie zapędziły ich daleko; tak to odwaga jednej kobiety ocaliła miasto od niewoli, a kraj cały od hańby!

Teresa Jadwiga.

SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M. . . a.

(Dalszy ciąg).

Swart, jeden z najstarszych wygnańców, który najpierwszy wszedł do groty, na ten rozkaz w milczeniu uderzył toporkiem swym w skrzynkę, którą sam przyniósł i postawił; deseczki rozpadły się, odsłaniając zdumionym oczom bogaty stos błyszczących, złotem i srebrem przerabianych wschodnich materij. Hastings skrzywił się wzgardliwie.

— Dalej! — rzekł, wskazując inne paki, które przyniesiono. Z kolei rozbito wszystkie. Znalezione w nich więcej jeszcze bogatych materij, dużo naczyń wyrobionych ze świetnie błyszczących kruszców, których wartości olśnieni młodzi Normandowie prawie nie znali, ponieważ w ubogich swych siołach nie widzieli nigdy nic podobnego. Znaleźli też w innych duży zapas bursztynu w najpyszniejszych mlecznych gatunkach, bardzo poszukiwanych, a z trudem znajdowanych na wybrzeżach Bałtyku. Ale tylko przy rozbiciu jednej paki rozchmurzyło się czoło Hastingsa, gdy z pomiędzy roztrzaskanych desek zabłysła ostra, świetnie polerowana stal, miecze, noże, sztylety... położył rękę na nich:

— To moje! to dobre! — rzekł.

— A reszta? — spyтали zdziwieni Normandowie. Hastings wzruszył ramionami:

— Reszta jest waszą — powiedział; porachował ich i rozdzieliwszy łupy na odpowiednią ilość części, rozdał je pomiędzy młodzieńców. — Tam w tej dalszej części jaskini, w składzie moim — dodał — dużo mam łupów podobnych i wszystkie je pomiędzy was rozdam, ale one się na nic i wam

i mnie nie przydadzą, dopóki nie zdobędziemy dużego statku, na którym popłyniemy za morza, do bogatych krajów, gdzie te łupy sprzedamy, a za ich cenę kupimy sobie jeszcze parę większych statków, takich mocnych i szybkich, jak ja wiem i widziałem; uzbroimy je doskonale i na tych statkach dopiero królować będziemy morzom, i wybrzeżom, i zamkom, i grodom na nich, zdobywając wszędzie stokroć bogatsze od tych nędznych łupy i bawiąc się za ich cenę, a używając życia w bogatych miastach, wesoło, jak prawdziwi królowie, królowie mórz!

Ubodzy Normandowie słuchali z otwartymi z podziwu ustami tych słów Hastingsa, milczeli długo zdumieni, a potem huczny ich okrzyk odbił się o skały nadmorskie:

— Niech żyje nasz wódz! wódz morskich królów!

— Dobrze — rzekł Hastings — chętnie będę wodzem dzielnych, bo czuję, że na to stworzon, ale uprzedzam was, że bardzo krępką i silną dłonią trzymać będę i sprawować wodzowstwo moje nad wami, nie przebaczę nic, bo nie umiem przebaczać! Namyślcie się zatem jeszcze, czy chcecie mię na wodza. Jutro przełożę wam prawa, jakimi rządzić was będę, bo całe lato, cały czas swobodny od moich ryb połowu, leżąc tutaj, o tém właśnie myślałem. Teraz rozproście się po szczelinach tych skał i śpijcie. Sen jest potrzebny tak, jak pożywienie. Słońce już zaszło z tej strony, a oto z tamtej już wschodzi; gdy oświeci stopy tej mojej skały, w której mieszkam, stawicie się przedemną.

Tak rzekł Hastings i tak się stało. Nazajutrz, gdy słońce wstawszy wcześniej, swoim tamecznym zwyczajem, oświeciło stopy skały, na której szczycie było mieszkanie Hastingsa, Normandzcy młodzieńcy stawili się przed nim, czepiając się skał naokoło grotu, która acz obszerna, przecie ich wszystkich pomieścićby nie mogła. I nie było też w niej Popielowego syna.

Obejrawszy się bacznie na okół, spostrzegli go dopiero stojącego jeszcze wyżej, ponad jaskinią; jak orzeł na gnieździe swoim, orłem okiem śledził on krańce widnokregu. Spojrzał na nich z góry tak dumnie, jak orzeł prawdziwy, a oni, w odpowiedzi na wczorajszy rozkaz namyslenia się, powtórzyli z zapalem wczorajszy swój okrzyk:

— Niech żyje Hastings, nasz wódz! wódz morskich królów!

On skinął głową poważnie na znak, że na ten obiór przystaje; powoli, pewnym krokiem, bez gładu wczorajszego cierpienia, zeszedł ze szczytu

i szedł dalej na dół po stromych skałach, a jego nowi podwładni szli za nim.

Zeszedłszy na niewielką płaszczyznę, stanął Hastings na tém samém miejscu, gdzie wczoraj walczył i rzekł:

— Zanim sam uznam się wodzem waszym, muszę wprzód przekonać was, że wczoraj w podwójnej walce, którą tu w obec was stoczyłem, za pierwszym razem nie miecz mój zwyciężył, lecz ja sam; a za drugim razem dziwny mnie tylko jakiś na chwilę spotkał wypadek, jaki do owej chwili nigdy mi się w życiu nie trafił. Niech najdzielniejsi z was stają po kolei do walki ze mną!

Tak rzekł Hastings i tak się stało. Z niesłychaną siłą i wytrwałością zwyciężył on po kolei dwudziestu i pięciu słynnych z dzielności młodzieńców, poczem chwilę spocząwszy, rzekł do innych dwudziestu pięciu:

— A teraz wy chodźcie próbować się ze mną, abym wiedział, czy warci jesteście pod moim wodzostwem morzom królować!

Jakoż po próbie wyłączył dwóch najsłabszych w walce, których mianował szafarzami i gospodarzami swymi, ale zapowiedział im, że nigdy z nimi na wyprawę nie pójdą, aby wstydu wodzowi nie czynili. Poczem otarłszy uznojone czoło, rzekł Hastings:

— Jestem więc wodzem waszym! — a gdy oni jeszcze raz odpowiedzieli pełnym uwielbienia okrzykiem dla jego dzielności, on usiadł, im też na około na skałach sięść kazał i przy szumie fal morskich i wichru morskiego poświstach, takie im prawa przez siebie obmyślane wygłosił, które później przyjęte były przez wszystkich najpotężniejszych korsarzy, to jest rozbójników morskich ze Skandynawii, niby z gniazda rozbójnictwa wpływających na morza.

— Będziemy stanowić *towarzystwo* braterskie, którego spójność ma być główną siłą, a którego sławę uczynimy tak wielką przez naszą waleczność, że największym będzie zaszczytem dla wojowniczych młodzianów do naszego towarzystwa należeć.

Nikt nie będzie doń przyjętym, ktoby miał mniej jak piętnaście, lub więcej niż pięćdziesiąt lat.

Nikt nie dostąpi tego zaszczytu, ktoby nie miał odwagi stawiać czoła przeciwnikowi mocniejszemu od siebie.

Każdy *towarzysz* będzie miał obowiązek pomścić śmierć swojego współtowarzysza, jak gdyby brata własnego.

Nie wolno będzie wśród nas dawać najmniejszej przyczyny do waśni lub niezgody.

O wszystkiem, cokolwiek się zdarzy lub co po-

słyszycie nowego, będę ja pierwszy natychmiast uwiadomiony.

Gdyby się okazało, że jeden z towarzyszy zabił brata, stryja, lub nawet ojca towarzysza drugiego, przecież obowiązek pomsty nie będzie ciążył na tym ostatnim; mnie przedłożycie sprawę i ja was rozsądzę.

Tę skałę, która jest mojem zamczyskiem i te okoliczne skały ponad zatoką uczynimy stolicą i grodem naszym, i obwarujemy tamami i głazami; tu będzie nasz dom, tu składy, tu szafarz i gospodarz będą czuwać nad zapasami, skarbami i wygodą naszą; a nigdy żadna niewiasta, choćby rodzona matka towarzysza, nie wstąpi do tego grodu, aby nie rozpowszechniała potem po świecie jego tajemnic, na które towarzysze przysięgną.

Zdobycze równo będą pomiędzy towarzyszy dzielone, nie wyłączając nigdy nawet szafarza i gospodarza, i tych, którzy strzedz domu będą musieli, podczas gdy inni pójdą na wyprawę.

Wszystkie te prawa kazał Hastings swym podwładnym uroczystie zaprzysiądz. Gdy zaprzysiągł już ostatni z obecnych, to jest czterdziesty dziwiąty, wódz obrzucił ich wejrzeniem i spytał, gdzie jest jeszcze jeden, ten, który go ranił, pięćdziesiąty, niewidziany od wczoraj?

— Mały Ralf — odpowiedziano — nie może tu jeszcze być, gdyż tam poza skałami wypełnia obowiązki ślubowanego braterstwa. Właśnie chcieliśmy z tobą o nim pomówić, wódzu, bo matki nasze kazały nam przyrzec przy odejściu, że się wszyscy razem ze sobą trzymać będziemy przez całe życie, abyśmy wzajemnie wspierać się mogli, a tymczasem teraz stało się, że my twoimi towarzyszami jesteśmy, a on ma obowiązek pomścić brata na tobie; więc jakże to będzie? boć go zatrzymać przy sobie nie zechcesz i nie możesz.

— I owszem — odrzekł Hastings — chcę i mogę. Pierwszy on z ludzi niepojętym przypadkiem zranił mnie i zwalczył chwilowo, i dla tego może pokochałem go, jak nigdy nikogo nie kochałem w życiu; a może dla tego, że jego jasne, miękkie kędziory i jasne oczy przywodzą mi na myśl najmłodszego z nas wszystkich, małego mego bratciszkę, który był w domu w czasie nieszczęścia i padł też jego ofiarą. Dobrze jest, żeście przyrzeczenie nierozstawania się uczynili matkom waszym, bo teraz Mały Ralf będzie musiał rad nie rad zostać z nami. W niczem to przecież obowiązkowi braterskiego ślubu nie zawadzi, bo o ile miarkuję z własnych słów jego, wymówionych, gdy się budził z omdlenia, musi on zabić mnie *w otwartym boju* koniecznie, a otóż ja nigdy z nim do otwartego boju nie wystąpię, więc cóż mi zrobić?! A zmusić mnie do tego zniewagą nie może,

gdyż w naszym towarzystwie nie wolno jest dawać powodu do zwady.

— Ha! — rzekł Swart — to Mały Ralf nie zechce nam zaprzysiądz towarzystwa.

— A to go zmusimy podstępem — rzekł Hastings z chytro-drwiącym śmiechem — przypominając mu przyrzeczenie matce uczynione; tylko opowiedz mi, Swart, dokładnie, jak to oni z tamtym zmarłym braterstwem sobie ślubowali, abym wiedział, do czego jeszcze Mały Ralf jest obowiązany i jak go zająć a podejść, by z nami został.

Normandowie pokręcili głowami na tę chytrą wodza, która znów im przypominała podstępny charakter Popielów, ale że wszyscy pragnęli i powinni byli Małego Ralfa przy sobie zatrzymać, przeto rzekł Swart:

— Wątpię, aby się ta rzecz dała podejść lub obejść, bo braterstwo owo bardzo ważne i uroczyste było.

— Otóż przysięgam na miecz mój — gwałtownie krzyknął nieznoszący oporu Hastings — że tańszym kosztem niż życie moje zaspokoim swój braterski obowiązek, a wreszcie, choćby i zabić mnie miał, to przysięgam, że bodaj w chwili konania mego ze mną on zawrze ślub bratni! przysięgam!

Chwila milczenia pełna grozy zapanowała po tej gwałtownej potrójnej przysiędze. Nikt nie odpowiedział, bo wątpić o takiej przysiędze byłoby najcięższą dla czyniącego ją zniewagą; ale wszyscy dobrze czuli, że jeszcze jak świat światem nie było takiego zdarzenia, aby kto ślubował braterstwo zabójcy swego ślubnego brata. I Hastings, Normand rodem, wiedział o tém, a przecież w uniesieniu poprzysiągł. Zaś kto przysięgał, musiał dotrzymać, bo byłby zhańbionym i skonałby nie mógł krzywoprzysięzca. Hastings pierwszy przerwał milczenie, wskazując ręką w niebiosa, wszyscy spojrzeli w górę i ujrzeli mewę zlatującą do jego ręki:

— Patrzcie! — rzekł wódz — zraniłem strzałą tego ptaka, a on odtąd, jakto często bywa, przywiązał się do mnie; może i ja, jak dziki ptak morski, tak samo przywiązałem się do jedyne go dotąd człowieka, który mnie ranił. Mów, Swart! jak oni ślubowali sobie braterstwo?

Swart mówił:

— Spotkali się oni, dwaj bardzo młodzi junacy, jako przeciwnicy na polu walki i zakończywszy sprawę orężem, a poznaawszy się wzajem ludźmi bohaterskiego ducha, zawarli zaraz w obec nas wszystkich i wielu innych dozgonne śluby braterskie. Najprzód złożyli uroczystą przysięgę, ślubując prawa dozgonnej wspólki bratniej, wspólność niebezpieczeństw i korzyści, walki i łupów,

obowiązek pomszczenia wzajemnie śmierci swojej w otwartym boju, i obrządki żałobne. Potem położyli sobie oba po kawałku zielonej darniny na głowę, każdy upuścił sobie krwi z ręki i pomazał nią oręż drugiego, potem wsaczyli tej krwi do napoju w czarze i wychylili ją obaj. Ten, któryby przeżył przyjaciela, wzniesie mu mogiłę wysoką i złoży w niej tyle skarbów, ile wymagać będzie zaszczyt pogrzebu. Oprócz tego winien przez trzy nocy siedzieć na grobie przyjaciela; dopiero po tej żałobie i po wypełnieniu wszystkich poprzednich warunków, poczyta się wolnym od obowiązków ślubowanego braterstwa. Dziś w nocy, gdyś nas spać odesłał, odprowadziłem pogrzeb zabitego, ale Mały Ralf tymczasową tylko, acz wysoką wznosił mu mogiłę, albowiem odkopać ją jeszcze będzie musiał, gdy uzbiera tyle skarbów, ile warte jest uzbrojenie dwudziestu najdzielniejszych mężów; bo tyle wymaga zaszczyt pogrzebu takiego dzielnego i tak starożytnego rodu junaka. A Mały Ralf obecnie nic nie posiada, tylko jedyny oręż swój, kij, którym cię zranił i ten krwią twą zbroczony złożył w przyjaciela mogiłę...

— Dobrze! — zawołał Hastings — pojutrze, gdy trzecia noc czuwania na mogile przeminie, pójdę sam wraz z wami do Małego Ralfa i rozmówimy się; tymczasem pójdźcie ze mną, a pokażę wam moje skały, i zakąty, i jaskinie przeróżne, w tych otaczających nas skałach, nad tą małą zatoczką. Przyroda utworzyła to miejsce tak obronem i w takie zaopatrzyła je kryjówki, że łatwo za waszą pomocą zrobię zeń niezdobytą a skrytą warownią, której istnienia nikt nawet domyślać się nie będzie, chyba ze sławy, jaką jej mieszkańcy zdobędą sobie na świecie.

Tak rzekł Hastings i tak się stało. Oprowadził on właśnie swych podwładnych towarzyszków po swę siedzibie, którą słusznie grodem swym i zamczyskiem nazywał. Była to masa niebotycznych skał, występujących w morze z dwóch stron, jakby w łuk wygiętych i tworzących ową tylekroć wspomnianą już zatokę.. Nagle podniósł głowę Hastings:

— Burza nadchodzi — rzekł — to najlepszy czas do połowu dla rybaków takich, jak my; nie jeden statek, obciążony ładunkiem, a przepływający w pobliżu, będzie usiłował schronić się do naszej zatoki; byle ich tylko nie było za wiele.

— A to czemu? im więcej, tem lepiej — mówili młodzieńcy.

— Nie — odrzekł wódz — bo po większej części ci, z którymi na tem wybrzeżu możemy mieć do czynienia, są takimi samymi właśnie *rybakami*, jak i my. I ci, z którymi wczoraj mieliśmy sprawę, widocznie złupili jakiś bogaty okręt kupiecki;

musieli mieć więcej łodzi, ale tę tylko jedną burza zapędziła w te strony. Wyjęli oni z niej kosztowny ładunek z obawy o niego i wraz z nim spojczyli wśród skał, a ja mogłem dać sobie z nimi rady, ponieważ byli niezbyt liczni; ale gdyby było ich więcej, gdyby czuwano nad nimi, czyliby mi się to udało?... Nie, moi towarzysze, nawet teraz, gdy wy jesteście ze mną, muszę działać tak ostrożnie, aby nigdy nie pozostał ani jeden żywy świadek mego działania, bo gdyby tylko ci *rybacy*, których ryby my wyławiamy, domyślili się, że istniejemy tutaj, toby ich niezliczone łodzie pokryły całe to morze szerokie, i oblegliby nas w tych skałach, i głodem zmusili do nierównej walki, albo do odebrania sobie życia. Czekać! gdy ja urządzę się w zamczysku tém mojem, gdy sobie porobię tajemne przejścia i wschody, a wówczas nie będę potrzebował ukrywać się z dzielnością i świat napełnię odgłosem mojej i waszej sławy.

Tak mówił Hastings i w rzeczy samej myślał on o sławie jedynie, ale jako Normand poganin dziwnie tę sławę pojmował, zasadzając ją na mnogich i z jak największem narażeniem się dokonanych rozbojach. Gdy tak rozmawiali towarzysze, tymczasem orli wzrok wodza dostrzegł na krańcach mórz jakiś maleńki punkcik ciemny, którego nikt inny jeszcze nie mógł dostrzedz; była to istotnie łódź, dążąca do znanej i dogodnej uchrony. Wódz natychmiast z daleka jeszcze zdołał obliczyć siły przypuszczalne załogi, w mgnieniu oka utworzył odpowiedni plan, wydał krótkie a stanowcze rozkazy, i podróżni, przybijając w chwilę później do samotnej na pozór jak pustynia zatoki, ani mogli pomyśleć, aby los ich był już nieodwołalnie postanowiony. W pół godziny potem, ani jeden z nich nie pozostał na świadka tego, co zaszło!.. Z łupów, najpożądaiszym była beczulka pełna solonego mięsiva i druga sucharów. Hastings oddał je obie szafarzowi do starannego szafowania, mówiąc:

— Na teraz, *to* jest najcenniejsza zdobycz dla nas! nie tak będzie później!

Mijała już trzecia noc od czasu przybycia wygnańców nad morze, słońce niedawno zaszedszy, wschodziło znów jaskrawo ponad zatoką, jakby gniewem rozplamienione. Mały Ralf siedział jeszcze wciąż samotny u stóp wysokiej mogiły przyjaciela, na małym wzgórzu, w oddaleniu od brzegów i w miejscu otwartem w głąb kraju w tę stronę, w którą zabity spoglądał w ostatniej chwili życia, w stronę siół rodzinnych dalekich. Mały Ralf rozpamiętywał pierwszą walkę z przyjacielem, tę, w której się wzajem oba nauczyli cenić, późniejsze igraszki, łowy, wyprawy, czasem przemawiał do przyjaciela, jak do żywego i znowu rozpamiętywał

i płakał. Zapominał w rozżaleniu swém o biegu czasu, aż spuszczone jego oczy ujrzały zbliżający się ku niemu cień ludzki. Płaczący chłopczyzna powoli podnosił oczy w niewyraźnej nadziei, że ujrzy przed sobą ducha zmarłego przyjaciela, ale gdy oczy te padły na przybysza, zerwał się Ralf gwałtownie, chwytając za nowy kij, leżący u boku jego.

— Przychodzisz! pójdz! — krzyknął, i rzucił się zaciekle na Hastingsa.

Ale ten zręcznym skokiem cofnął się w tył i ciosu uniknął, ręce krzyżując na piersiach.

— Opuść broń! — rzekł poważnie — widzisz, że jestem bezbronny; wiedz, że nigdy nie podniosę broni przeciw tobie, a tobie wolno zabić mię tylko w otwartym boju!

— A więc osłaniasz się bezbronnością przed pomstą moją, szalbiertzu nikczemny! — krzyknął Ralf.

— Jakkolwiek jestem bezbronny, nie żyłbyś już za te wyrazy, gdybyś nie był tak podobnym, jak jesteś, do mego najmłodszego braciszka, jedynej istoty ukochanej mi w życiu — odparł Hastings, trzęsąc się z gniewu, a po chwili dodał miększym głosem: — I gdybyś mię nie był na chwilę zwyciężył, ty pierwszy i ostatni z ludzi, ty jedyny! Zatem, rad nie rad muszę ja ciebie pokochać, bo zemsty niema tak wielkiej, na jaką zasłużyłeś u mnie; i ty będziesz musiał pokochać mię nawzajem! czy słyszysz?!

— Żebyś zginął wprzód marnie, nim ja cię pokocham! — krzyknął Ralf i wyzionął na Hastingsa taki niezmierny szereg łajañ, przekleństw i przezwisk obelżywych, na jaki tylko stać było dość bogaty pod tym względem język normandzki.

(D. c. n.).

KLEJNOT.

„Wielki las Ardennów, mówi jeden z słynnych pisarzy francuzkich, jest bardziej rozległy niż wspaniały. Spotkasz tam miasta, zamki, pastwiska; zda ci się, żeś wyszedł z lasu, a to są tylko goliżny; las znowu się zaczyna. Widzisz ciągle niskie dęby; pokorny i jednostajny ocean roślinny; od czasu do czasu, po wierzchu pagórków, spozstrzegasz powolne falowanie tej zieleni. Niegdyś las ten był rozleglejszy jeszcze. Myśliwi mogli przebiegać zawsze w cieniu, z Niemiec, od Luksemburga do Pikardyi, od św. Huberta do N. Panny de Liesse. W tych cienistych ustroniach odbyło się nemało faktów dziejowych.“

W jednym z zamków, ukrytych w tym lesie Ardennów, w bogatej komnacie z oknami i drzwiami szklanymi, rozwartymi na wspaniały taras i las rozległy, siedziała młoda, piękna kobieta, bardzo bogato, choć już trochę niemodnie ubrana. Bawiła ona maleńkie dziecko, siedzące na jej kolanach, błyskając mu przed oczyma ślicznym małym klejnocikiem, który odpięła z bogatych swych spłotów; był to bukiecik niezapominajek, śliczny, i zupełnie do naturalnego podobny, a zrobiony z pięknych turkusów, szmaragdów i złota.

Młoda kobieta nazywała się pani de Frouvillac, a rodzina Frouvillac'ów była bardzo starożytna, bardzo bogata i w całej rozległej okolicy szanowana niezmiernie, i słusznie, jakkolwiek na wielkim świecie i na dworze królewskim w Wersalu mało o niej wiedzano. Co prawda, ona jeszcze mniej troszczyła się o świat ten królewski, pełen swarów, zbytków, hałaśliwych zabaw, i innych podobnych przyjemności. Dla Frouvillac'ów, z ojca na syna, tradycyjnie, światem był dom rodzinny. A u nich domem rodzinnym zwał się nie tylko ten wspaniały zamek, w którym teraz młoda pani synka pierworodnego bawiła, ale cała bardzo rozległa okolica, zapelniona małemi ale schludnemi wieśniaczami chatami; wsi, folwarki, miasteczka, wszystko to było rodziną Frouvillac'ów i dom wspólny rodzinny, patryarchalny, szczęśliwy dotąd, i głęboko skryty w Ardennach przed nowszym i mniej odeń szczęśliwym światem.

Dowodem tego ich usunięcia się od świata mógł być już sam strój młodej pani, strój bardzo bogaty, i bardzo świeży, ale nie modny. Bo moda wraz z wielu innemi ważniejszymi wiadomościami przedzierała się przez Ardenny do starego zamku wtedy dopiero, gdy już o niej na wielkim świecie zapomniano. A piękne kasztelanki zamku de Frouvillac, szczęśliwe, wesołe, kochające i kochane, ani myślały troszczyć się o nią.

Tak i obecnie, okropności rewolucyjne, których ofiarą padł Ludwik XVI i jego rodzina, srożyły się w Paryżu i w całej niemal Francyi, a we Frouvillac używano jeszcze zwykłego spokoju i swobody. Wprawdzie, sami państwo wiedzieli po części z dzienników i listów co się dzieje na świecie, ale było to tak daleko, a oni byli tak ukryci od wieków w Ardennach, że sami nic nie mogąc poradzić na nieszczęścia krajowe, współczuli tylko z niemi i siedzieli cicho, pewni, że naród cały i jego obecni władcy zapomną o włości Frouvillac i jej panach. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, tak też być mogło. A jednak rodzina Frouvillac zawiodła się na swój rachubie, tak samo, jak bardzo wiele innych znakomitych rodzin szlacheckich.

W chwili gdy piękna pani bawiła synka, a ten

wyciągał rączki do pokazywanego mu klejnotu, wołając: „Daj! daj!”... weszła do komnaty starsza pani de Frouvillac, wdowa. Wysoka, prosta i sztywna, o pięknych, surowych rysach, w stroju zeszłowiecznym, sędziwa pani zatrzymała się chwilę w progu, obejmując wejrzeniem synową i wnuka, ale niebawem postąpiła ku nim z listem otwartym w ręce, dziwnym listem, brudnym i zmiętym. Wdowa położyła piękną jeszcze rękę na ramieniu synowej i rzekła półgłosem:

— Łucyo! słuchaj!

Młoda matka zadrżała na niezwykły dźwięk jej głosu, i podnosząc twarz ku swój teściowej, wypuściła z ręki klejnot, którym zabawiała dziecko, a który ono pochwyciło skwapliwie. Sędziwa pani mówiła uroczystym, poważnym głosem:

— Mój syn, twój mąż, został uwięziony, pochwycony tu w Ardennach, w czasie tego polowania, na które, jak wiesz, pojechał. Oto list od niego, który z trudnością mógł napisać, a uczciwi wieśniacy z narażeniem życia tu przynieśli. Czytaj! cobądź ma się stać, mąż twój żąda, abyś natychmiast uchodziła z synem za granicę Francji; musisz żyć dla spadkobiercy domu Frouvillac'ów. Śpiesz! każda chwila droga! wszystko do odjazdu gotowe! za godzinę wysłańcy Robespiera, który jest teraz wszechpotężny we Francji, przybędą uwięzić ciebie i twego syna!

Młoda kobieta zerwała się, jakby odurzona tym strasznym ciosem, przyciskając tylko dziecko do piersi:

— Mąż mój! — krzyknęła — ja go odstąpić nie mogę!

— Czy sądzisz, że potrafiłabyś więcej dla niego uczynić, niż ja uczynię? — spytała wdowa. — Słuchaj rozkazu męża, jedź! i pociągnęła synową ku wyjściu.

— Gdzież ja mam jechać?... — błagalnie pytała tamta.

— Tam, gdzie wszyscy wychodzą nasi jada, wszystka szlachta, która jeszcze może wyjechać; gdziebądź, byle za granicę Francji — odpowiedziała wdowa.

Pani de Frouvillac z synem, dotąd kosztowni tylko jeżdżąc pojazdami, teraz znalazła się na prostym chłopskim wózku, przebrana za wieśniaczkę i udająca córkę poczciwego starego wieśniaka, przywiązanego do swoich panów, który narażał życie własne, żeby uwięzić ją znajomymi sobie drózkami leśnymi przed czatującymi siepaczami rewolucyjnymi. Dowiózł on ją tak po najokropniejszych drogach do pewnej chaty w lesie, gdzie czekał już inny człowiek z wózkiem, nędznym także, ale jak i pierwszy w dzielne zaprzężonym konie. Pierwszy wieśniak wrócił dla niepoznaki z wóz-

kiem swym do swojej chaty, a ów drugi wiózł znów panią z dzieckiem dalej, do jakichś zwalisk, gdzie jeszcze inny woźnica czekał z końmi, i znów drugi wieśniak wrócił, a ten trzeci wiózł matkę i syna ku granicy. Wieśniacy ci umówili się tak sami pomiędzy sobą, bo pan de Frouvillac w chwili, gdy go aresztowano na polowaniu, rzekł z cicha do nich:

— Powierzam wam mego syna!

Nie każdy pan francuzki mógł wtedy tak zaufać wieśniakom i daleko trzeba było szukać takich ludzi, którzyby polecenie to pańskie przyjęli. Ale przecież znajdowali się i tacy.

Po wielu a wielu trudach, przebywszy cudem prawie liczne niebezpieczeństwa, w kilka dni dopiero znalazła się pani de Frouvillac w chwilowym ale o tyle przecież bezpiecznym schronieniu, że mogła przynajmniej przebrać, umyć i uczesać dziecko swoje, przyzwyczajone do wykwiutnych starań. Wtedy, rozbierając synka, wśród haftów i koronek, zdobiących jego bieliznę, znalazła na piersiach dziecka ów mały klejnot, bukiet niezapominajek, którym go zabawiała ostatniego szczególnego poranku w zamku rodzinnym.

Jakim sposobem klejnot ten nie wypadł i nie zginął w drodze? trudnoby odgadnąć; może dziecko samo pamiętało o nim, bo i teraz wyciągnęło po niego rączki. Matka zrozpaczona, a rada zabawić dziecko, aby nie zdradzało płaczem ich kryjówki, dała mu ów klejnocik napowrót, i znów zapomniiała o nim. Ale po długiej dalszej podróży, gdy spoczęła już bezpiecznie poza granicą francuską, pokazało się, że dziwnym sposobem chłopczyca zawsze miał jeszcze ów klejnocik, a tak go polubił, że go wcale oddać nie chciał. Nie myślało mu też odbierać tego jedyne cacka, którym teraz zabawiał się dziedzic możnego domu, obsypany kosztownymi cackami w pierwszym roku życia, a teraz wychowywany w ubóstwie, graniczącym z nędzą.

Pani de Frouvillac do wielkiego przyszła z czasem niedostatku. Pieniądze i klejnoty wszelkie, jakie można było na prędcie zgromadzić, a w jakie zaopatrzyła ją matka przy wyjeździe z zamku, były spieniężone jeden po drugim na konieczne potrzeby do życia. Z ostatnimi resztkami dawniej zamożności umyśliła pani de Frouvillac udać się do Anglii, gdzie spodziewała się znaleźć pomoc u znajomych. Ale wszystkie rachuby i nadzieje ją zawiodły. Wkrótce, wydawszy resztę pieniędzy na podróż, ujrzała się z dzieckiem osamotnioną i bez grosza prawie w ludnej, ruchliwej i bogatej stolicy Anglii. Nędzna izdebka, wynajęta za przybyciem, miała jej służyć na cały miesiąc jeszcze; ale żywność? ale co potem? były to okro-

pne pytania, na które biedna pani nie miała odpowiedzi, jak bardzo wielu innych jej współbraci, rozproszonych w owe czasy po całym świecie, w takim samém jak i ona położeniu.

spory już chłopaczek, pokazując matce swoje kosztowne, ulubione cacko.

— A prawda! — rzekła matka, pocieszona na chwilę istotnie, ale potem dodała:



Widziano kobietę w żałobie... (str. 666).

— O ty! mój jedyny klejnocie! — rzekła raz, ściskając syna, wróciwszy z miasta, gdzie sprzedała ostatni, najmniejszy pierścioneczek.

— Przecież nie jedyny jeszcze! — odpowiedział

— Na prawdę, to już nie mój klejnot, tylko twój, bo ty go uwiozłeś i uratowałeś z naszego rozbicia, jak wiesz, a czego ja nie rozumiem dotąd i tłumaczę sobie tylko przez przypadek.

— Ale gdzieś tam przypadek — odrzekł chłopczyk — ten bukietek przesłiczny jest, podobał mi się bardzo, musiałem go mocno w ręce nawet przez sen ścisnąć, i tak go uwiozłem.

— Ale cóż to jest takiego, w czym on jest utkwiony? — spytała pani de Frouvillac.

— To ja sobie wystrugałem z drzewa taki porte-bouquet do mego bukietku, żeby się czasem od rąk nie uszkodził! — odpowiedział z dumą i ze śmiechem chłopczyk — u jubilera w tym samym domu, od ulicy, widziałem na wystawie taki sam, tylko złoty, i starałem się koniecznie podobny z drzewa wyrobić, gdy mama chodziła za interesami, a ja sam jeden w domu siedziałem.

Matka westchnęła ciężko; jęł syn blisko dziesięcioletni powinienby był teraz być otoczony nauczycielami, i nad naukami właściwymi jego stanowi pracować, zamiast siedzieć w samotnej, ciemnej izdebce, i wiórki strugać dla zabawki... Pani de Frouvillac rozplakała się.

Wkrótce nadeszła wiadomość o skazaniu na śmierć pana de Frouvillac. Syn, przybiegający na krzyk matki, zastał ją omdloną na ziemi, z listem w ręce, zawierającym wieść okropną. Pani de Frouvillac zachorowała ze zmartwienia, a z chorobą przyszła na dwoje nieszczęśliwych ostatnia nędza. W kilka dni później zamożny jubiler, mieszkający w tymże samym domu od ulicy, ujrzał wchodzącego do sklepu małego chłopczyka, w czystym, ale bardzo wytartym ubraniu, który zapytał, czy nie kupiłby od niego małego klejnotu, i pokazywał klejnot ten, bukietek niezapominajek z drogiego kamieni, utkwiony w drewnianej obsadce. Jubiler obejrzał klejnot, i zdziwiony, widząc go w rękach dziecka, począł je rozpytywać. Chłopczyk opowiedział całą prawdę o położeniu matki i swoich.

— A to co jest? — To jest mój własny porte-bouquet, który ja sam rysowałem! — krzyknął nagle jubiler zdziwiony.

Chłopczyk opowiedział i historię drewnianej obsadki. Jubiler wysłuchał, obejrzał tę robotę dziecka, potarł się palcem po nosie, jak to często czynił, gdy co głęboko w myśli kombinował, i rzekł:

— Słuchajno, mój chłopczyku; zdolnych robotników nie łatwo jest dostać, bo nie wyrastają jak grzyby po deszczu. Ty masz wielką zdolność do jubilerskich robót... Ja wezmę ten klejnot w zastaw tylko, bo widzę, że go bardzo cenisz. Zajmę się twoją matką, opłacę doktora i wszystkie wasze potrzeby, a ty będziesz się u mnie uczył jubilerstwa. Jeżeli będziesz pracowity tak, jak jesteś zdolny, to zdaje mi się, że wkrótce zarabiać zaczniesz, i kto wie, może nawet wcale twój pa-

miątka nie będziesz potrzebował sprzedawać: tylko uprzedzam cię, że to sprawa długa, na lata całe, i że ja robotników nie rozpieszczęm.

Młody Frouvillac przystał chętnie na tę umowę. Pracował dniem i nocą, z dość lekkim sercem nawet, bo matka jego wyzdrowiała. Wkrótce sumienny jubiler wyznaczył mu małe wynagrodzenie, potem większe, i dług, jaki Frouvillac zaciągnął u niego z razu, umarzać się zaczął powoli.

W owym to czasie widywano uczęszczającą do najbliższego kościoła młodą jeszcze kobietę, w żałośniejszej skromnej odzieży; kobieta ta, wychodząc z kościoła, zawsze jeszcze znalazła jakąś odrobinę z ubóstwa swego, aby nią wesprzeć ubogich, na stopniach u drzwi kościelnych siedzących. Wróciwszy do swjej czystej maleńkiej izdebki w domu jubilera, kobieta ta zajmowała się jakąś bardzo wykwintną damską robótką, którą czasem kupowano od niej w sklepach. Wieczorem zaś, gdy powracał z całodziennej pracy u jubilera syn tej kobiety, który pracował już teraz na jej utrzymanie, ona ścisnęła go i błogosławiła, mówiąc doń:

— O ty! mój klejnocie!

Z czasem młody Frouvillac, skarbiąc sobie przyjaźń uczciwego pryncypała, wyszedł na zdolnego jubilera. Sam nakoniec założył sklep wystawny; jeszcze później kupił kamienicę, w której ten sklep się znajdował. Otoczył matkę wygodami i dobrobytem, i żył długo szczęśliwy, ożenił się, i potomkowie jego do dzisiaj podobno mają sklep jubilerski, słynący z rzetelności w całym Londynie.

Listy z Podola i Odesy.

Poświęcone pilnej i roztropnej Marylee,

przez Waleryą Stacherską.

Droga Marylko! Przyobiegałam ci zdawać sprawę z wrażeń, nasuwających mi się w czasie mej podróży, ale że zawsze łatwiej uczynić obietnicę, niż ją wykonać, więc i ja niestety pomnożyłam liczbę tych, którzy więcej obiecują niż dotrzymują. Od tygodnia prawie napastowała mnie ochota, by dogodzić twemu życzeniu, ale były to chęci luźne, uwijające się samopas po mojej głowie. Dzisiaj dopiero zabrałam się do rozmowy z tobą, z silnym postanowieniem wynagrodzenia ci mego opóźnienia. Przystępuję więc do szczegółów.

Wyjechaliśmy z Sokołówki w piątek tj. 23 zeszłego miesiąca. Dzień był przesłiczny, ogród świeżo oczyszczony, jaśniejący pięknoscią rozkwitłych róż, które w niezmierniej obfitości zwieszały się ze wszystkich krzaków, nasunął mi tę myśl

przelotną, że szkoda opuszczać wsi, właśnie w takiej chwili, kiedy ona najwięcej przedstawia powabu; ale pragnienie zobaczenia morza, za którym tak zawsze tęskniłam, zatarło to wrażenie i ochotczy wsiadłam do powozu. Jechaliśmy do Krzyżopola, stacji kolei żelaznej, dwie godziny końmi.

Krajobraz podolski w tych stronach różni się wybitnie od krajobrazu tych okolic, w których dotychczas przebywałam. Prześliczne okolice Krakowa i Ojcowa, wśród których wzrosłam i wychowałam się, wreszcie wzgórza podtatrzzańskie, zostały w umyśle moim niezatarte wspomnienia zachwyty; dotąd też żadna miejscowość nie przedstawia dla mnie rzetelnego powabu, jeżeli w niej nie ma skał, górskich szumiących rzek i potoków, balsamicznych lasów iglastych. Nie zaprzeczam jednak, że nieprzejrane łąny podolskie, okryte bujnym zbożem, zielone jary i polany wśród liściastych lasów, wywierają pociągający urok, któremu oprzeć się trudno.

Las podolski przedstawia także odrębny charakter. Okopany głębokim rowem, zamknięty na bramy, nie ma iglastych drzew, które tu napotyka się bardzo rzadko, bo nie nadają się do gleby zbyt tłustej. Za to olbrzymie i wspaniałe dęby, rosłe graby, klony, jesiony, wiążą swoje gałęzie w gęste sklepienia; ciemna ich, świeża zieloność, napełnia tajemniczym półmrokiem lasy i nadaje im fantastyczną barwę. Łąki w porze rozkwitania traw przepełnione różnobarwnymi kwiatami o mocnej woni; są tu narcyzy leśne, irysy, goździki, wzgórza obsypane całe konwaliami.

Wieś podolska odróżnia się także odrębną cechą od naszych wiosek w Galicyi i Królestwie; chaty budowane jedna przy drugiej, tworzą ulicę przez całą długość wsi. My o takiej rozległości ani też o takich chatach nie mamy wyobrażenia, trzeba im przyjrzyć się z bliska, żeby uwierzyć, że to chłopskie zabudowania, tak są piękne, czyste, można powiedzieć wymuskane ze szczególną starannością. Strzechy całe, dostatnio pokryte słomą, o którą (mówiąc nawiasem) nikt się tutaj nie troszczy; pan i wieśniak mają jęj, nie tylko podobnie, ale nawet do zbytku. Najlepszy na to dowód, że palą ją na polach całymi stertami, ażeby napróżno nie zajmowała przestrzeni.

Wieśniak tutejszy mości (lepi) kilka razy do roku swoją chatę, wewnątrz i zewnątrz; szczególnie na Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki i przyozdabia ją ściany kilimkami swojego wyrobu, o krasnych barwach i ładnym rysunku. Ubiór tutejszych kobiet zachował prawdziwie pierwotną prostotę, do której jednak nawyknać trzeba. Składa się z białej koszuli haftowanej bardzo ozdobnie kolorową wełną, na piersiach i ra-

miączkach. Na tę koszulę kładą wiośniaczki zapaskę, szeroki kawał sukna ciemnego, zwykle czarnego, którym opasują się ściśle i przewiązują kolorowym wełnianym pasem. Podolanki mają zwykle wysmukłą kibić, wzrost wysoki; wykarmione na psennym chlebie, nieznające głodu, nie są obrzękłe i krępe, jak to często u nas się zdarza, gdzie ziemniak stanowi główną podstawę pożywienia.

W Krzyżopolu wsiedliśmy do wagonu o 12-ej w południe. Miałam ze sobą zajmującą książkę, którą czytałam, ale przedewszystkiem ciekawą była stepów, które się tutaj rozciągają po całej Chersońskiej gubernii, aż do Odesy. Przypomniłam mi się Kirgiz Zielińskiego i inne tego rodzaju szkice, które z takim urokiem opisują te bezmierne obszary; ale zawiodłam się. Trawa, wypalona zeszłego roku żarem słońca, nie miała ani bujności ani zieloności, której się spodziewałam. Gdzieś niedaleko stada wołów i owiec, wypasających się na tych stepach, ożywiały nużącą jednostajność przyrody; dopiero zachód słońca ozłocił i nadał poetyczną barwę tym pustym obszarom, sprowadzając przytęm chwilę zachwyty i zamyślenia! Upał był niesłychany, prawdziwa stepowa spiekota.

W Odesie stanęliśmy dopiero o 11 w nocy. Po zwykłym i nudnym wyczekiwaniu i uwijaniu się wśród ciżby podróżnych, wsiedliśmy do dorożek. Pragnęłam stanąć na miejscu, żeby zrzucić z siebie suknie i odpocząć po znużeniu całodzienne. Miasto było prawie puste, ale zaraz na samym wstępie zauważyłam, że bruk doskonały i ulice wysadzone drzewami w dwa rzędy. Mieszkanie moje mieści się w baszcie zamkowej, nad samym portem morskim. Zaledwie przestąpiłam próg pokoju, skierowałam się zaraz ku oknu, żeby zobaczyć morze, ale ciemność położyła tamę mojej ciekawości, nic rozróżnić nie mogłam, tylko latarnia morska rzuciła smugę światła na zwierciadło wody, lekki szum fal dochodził moich uszu; powiedziałam więc sobie, że najrozsądniej będzie pomyśleć o śnie, témbardziej, że zmęczenie odbierało mi wszelką ochotę do rozmyślań.

O świcie zbudził mnie ruch panujący w porcie, wyskoczyłam co żywo do okna, było prawie szaro, latarnia morska paliła się jeszcze. Zobaczyłam więc morze, niebo stykało się prawie z falami, lekkie białe bałwanki muskały powierzchnię wody, w porcie maszt przy maszcie, gdzieś niedaleko rozpięte, statek jakiś wypływał z przystani. Siadłam przy oknie, jedna myśl goniła drugą, jak te fale, które przedemną woda unosiła.

Wpółnoc tego na pół sennego majaczenia, chęć nieprzeparta jaknajprędzszego kąpania się w morzu zaczęła mnie nagabywać. Niestety! zupełnie niepodobieństwo wykonania tego pragnienia:

była trzecia godzina. Wkrótce zmęczenie owładnęło mną i zaprowadziło do łóżka, położyłam się i zasnęłam ciężkim snem. Pukanie służącej, która przyszła po suknie, obudziło mnie, spojrzałam na zegarek i zdziwiłam się niepomaha, ósma była właśnie, a tymczasem sen mój wydawał mi się krótką chwilą. Pierwsza niemiła niespodzianka przy ocknięciu, deszczyk drobny mrzył i mgła gęsta okryła białym całunem wodę; prawdziwe utrapienie, myślałam sobie, zapewne nic z kąpeli. Tymczasem później wyjaśniło się troszkę i na upartego pojechaliśmy do morza, ale tylko do portu, gdzie woda jest prawie spokojna! Z tém wszystkiém kąpiel ta zostawiła mi miłe orzeźwiające wrażenie, zdawało mi się, że się pluskam w jakiś głębokiej rzece, tylko kolor wody ciemno-zielony i smak gorzko słony, którego miałam pełne usta (bo zanurzwszy się gwałtownie sprobowałam jej więcej niż chciałam), dowiodły mi, że tak nie jest.

Nad wieczorem wyszliśmy na miasto, rozglądałam się naokoło z prawdziwą przyjemnością; domy piękne, niektóre z kamienia krymskiego, który jest biały, jak marmur; z czasem ciemniejsze, ale zawsze bardzo ładnie wygląda. Ulice szerokie, i co we mnie prawdziwy podziw wzbudziło, wysadzone po obu stronach akacyami, które starannie utrzymane, zielone, świeże, dostatecznie zacieniają chodniki, tak, że jak się później przekonałam, nawet wśród skwaru południowego można iść w cieniu. Bruk wszędzie wytworny, a czystość prawie niepraktykowana w innych większych miastach; dość wspomnieć Warszawę lub Wiedeń. Tutaj wszystkie, nawet mniej uczęszczane ulice codziennie obficie zlewane wodą, także drzewa, które są strzeżone i pielęgnowane ze szczególną troskliwością.

Odesa stosunkowo do swojej rozległości mało ruchliwa, po mieście można przechadzać się z zupełną swobodą, nie będąc popychaną i szturchaną na wszystkie strony. Ludność wydała mi się przeważnie złożoną z przemysłowców i kupców. Dorożki małe, niewygodne, na dwie tylko osoby, zaprzężone w dwa konie, z których jeden w hołobli, drugi zwrócony bokiem, co bardzo brzydko wygląda. Dorożkarze w długich szlafrokach wstawianych w fałdy i niskich kapeluszach, bardzo zabawnie wyglądają; jestto podobno ich strój narodowy. Myślałam sobie, jak podczas upałów sierpniowych, które tutaj mają być nie do zniesienia, musi im być w podobnych ubraniach lekko i chłodno. Lecz już dosyć, moja Marylko, tej pogawędki na dzisiaj, jestem strudzoną, a i tobie, po przeczytaniu mojego długiego listu, należy się chwila odpoczynku; porozmawiajcie tymczasem

oboje z Jasiem o mnie i powiedzcie wszystkim znajomym, że zdrowa.

(D. c. n.).

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Podróżnicy nasi spali wybornie przez całą noc; po trudach morskiej przeprawy potrzebowali wypocząć i nowych sił nabrać do wędrówki lądowej. Jakób przebudził o świcie młodzieńców.

— Wstawajcie, chłopcy — wołał — wiecie, że mamy tylko miesiąc czasu na zwiedzenie Algieru, słyszeliście, co mówił kapitan Kormoranu. Nie potrzebujemy długo bawić w mieście, nie obaczmy tu nic osobliwego, wybierzemy się zatem niezwłocznie do Sahelu.

— A co to jest Sahel? — zapytał Henryk.

— Jest to najpiękniejsza część posiadłości francuzkich w Afryce, jedna z najrozkoszniejszych i najżyźniejszych krain na ziemi.

— Ruszajmy więc coprędzej do Sahelu.

— Ruszajmy — powtórzył Marek — może raz przecież napotkamy wielbłąda, jak się wydostaniemy z bruku miejskiego.

Jakób znalazł pewnego przewodnika, tłumoki upakowano na grzbiecie muła i puszczono się w drogę.

Już o sto kroków za miastem najbogatsza roślinność ukazała się oczom naszych podróżników. Piękna ta kraina coraz więcej w ostatnich czasach zwiedzana jest przez Europejczyków. Chorzy, potrzebujący ciepłego klimatu, osiedlają się tu na zimę; okolica ta przyjemniejsza jest daleko od miejsc leczniczych włoskich, a teraz nie brakuje tam nawet i wygodnych mieszkań, urządzonych zupełnie na sposób europejski. Wielu bogatych Anglików i Francuzów buduje w tej rozkosznej miejscowości wspaniałe wille i pałacyki.

Ale przed laty kilkunastu, gdy młodzieńcy nasi podróż swoją odbywali, cywilizacja europejska nie wycisnęła jeszcze tak wybitnie piętna swego na krainie Sahel, a krajobrazy, które się rozciągały przed ich oczyma, miały urok dzikiej przyrody, nietkniętej ręką człowieka. Nieraz po pas brnąć musieli wśród wysokich traw, skropionych lśniącem kroplami rosy.

— Cóż to za cudny kraj! — wołali Robert i Henryk zachwyceni.

— Cudny, niema co mówić — odzywał się Marek — ale cóż z tego, kiedy nie widać ani jednego wielbłąda.

Podróżnicy, zapatrzeni w piękne widoki, nie czuli zmęczenia i postępowali żwawo za przewodnikiem. Jakób zatrzymał ich na chwilę, mówiąc:

— Spójrzcie, chłopcy, na prawo, oto jest odwrotna strona medalu. W tym pięknym kraju, gdzie tak rozkoszne drzewa i kwiaty, takie śliczne ptactwo ożywia gaje i łąki, w tym raju ziemskim czyhają na każdym kroku zgraje skrzydlatych potworów. Straszliwą plagą tej ziemi są mustyki.

A mówiąc to wskazywał końcem podróznego kija roje jadowitych owadów, które są postrachem algierskich osadników, a częstokroć do nędzy ich doprowadzają, zagryzając na śmierć ich trzody.

Ale chłopcy byli odważni, nie ulękli się tego wroga i żwawo podążyli dalej.

— Powiedz mi, mój Jakóbie — zapytał Robert — gdzie ty nas prowadzisz tą malowniczą drogą?

— Idziemy w odwiedziny do plemienia Beni-Ussem, którego wodzem jest szejik Abdallah-Ben-Daud.

— A cóż to za plemię i cóż to za szejik?

Tu przewodnik, Francuz oddawna zamieszkały w Algierze, odezwał się w te słowa:

— Panowie, prawie wszystkie plemiona beduińskie są gościnne dla spokojnych wędrowców, ale najgościnniejsze bez zaprzeczenia jest plemię Beni-Ussem, które najpierwsze poddało się Francuzom. Szejik Abadallah-Ben-Daud jest niezmiernie uprzejmy i przychylny dla Europejczyków, uważa sobie za szczęście i zaszczyt, gdy który z nich nawiedzi jego namiot i z otwartymi rękami go przyjmuje.

— Panie przewodniku — zapytał Marek — czy sądzi pan, że obaczmy nakoniec wielbłądy u tego plemienia Beni-Ussem?

— To zależy od okoliczności; jeśli robotnicy są w polu, nie obaczmy ich pewnie, ale jeżeli zboże już zebrane, wielbłądy będą także w domu.

— Jeśli tak, to pośpieszajmy — rzekł Marek.

Wkrótce szczekanie psów, ryk bydła zmieszany z głosami ludzkiemi, zwiastował bliskość miejsca zamieszkałego. W rzeczy samej na zakręcie drogi, za łaskiem figowym i palmowym, podróżni nasi spostrzegli około dwudziestu namiotów, rozłożonych jedno przy drugim.

— Oto jest obóz plemienia Beni-Ussem — rzekł przewodnik, mała gromadka zbliżyła się do namiotów.

— Oto jest mieszkanie szejika — mówił dalej przewodnik, wskazując namiot większy i okazałszy od innych, u góry zaokrąglony w kształcie kopułki.

Jakób szedł naprzód, za nim postępowali młodzieńcy. Przed wejściem do namiotu szejika, ujrzeni pięknego wierzchowca, opodał nieco, na kobiercu rozestłanym na ziemi, spoczywał w postawie na wpół leżącej sędziwy Arab, paląc fajkę z długiego cybucha. Był to szejik Abdallah w własnej osobie.

— Dostojny panie — rzekł Jakób, z głębokim ukłonem — oto są młodzi Francuzi, którzy pragną zwiedzić twoje posiadłości.

— Witajcie, młodzieńcy, jeśli przychodzicie w imię Allacha — odpowiedział Arab.

Mówiąc to, wstał i wprowadził gości do swojego namiotu, a tu rzekł jeszcze:

— Synowie Francyi, jesteście u siebie w tym namiocie.

Po chwili murzyni wnieśli na tacach podwieczorek, złożony z fig świeżych, pomarańcz, konfitur różanych i świeżej wody.

— Gdybyście mieli już zarost na brodzie — rzekł Abdallah — poczęstowałbym was fajką, która jest u nas najpierwszą oznaką gościnności. Ale w waszym wieku palić jeszcze nie wypada. Macie więc owoce i czystą zimną wodę, pożywajcie i pijcie.

Jak łatwo się domysleć, mowa ta nie stosowała się do starego Jakóba, któremu ciż sami murzyni, niewolnicy szejika, podali, jeden fajkę nałożoną wonnym tytoniem, a drugi żarzący węgiel.

Młodzi nasi podróżnicy byli zachwyceni tém przyjęciem. Ten szejik, taki poważny, a taki uprzejmy, niezmiernie im się podobał. Robert zauważył, że w zachowaniu się jego było wiele szlachetności i prostoty zarazem; Henryk utrzymywał, że piękny starzec wyglądał jak patriarcha biblijny. Marek największą uwagę zwracał na wyborne przysmaki, które im na podwieczorek podano.

Nazajutrz z rana szejik oprowadził swoich gości po całym obozie. Liczne namioty plemienia Beni-Ussem rozłożone były nad brzegami niewielkiego strumienia, w najpiękniejszej dolince krainy Sahel. Namioty stały gromadkami, jakby małe wioski, rozdzielały je pomiędzy sobą gaje palmowe i warzywne ogrody. Gdzieś tam u wejścia namiotów siedzieli Arabowie, rozmawiając i paląc fajki.

Widok ten był niezmiernie malowniczy, zwłaszcza gdy wietrzyk pochylał wierzchołki palm i poruszał płótno namiotów.

Na zielonych łąkach pasły się swobodnie gromadki młodych żrebaków.

— Można je tak zostawić aż do wieczora — rzekł Abdallah — na noc dopiero zamykają je w zagrodach, żeby się nie dobrał do nich *pan wielkogłowy*.

— A toż co znów za jeden? — zapytał Robert.

— Ten sam, którego wy lwem nazywacie — rzekł Arab poważnie.

I wskazując ręką pasmo wzgórz, które ciągnęły się na krańcu widnokregu, mówił dalej:

— Przed kilkunastu laty straszny zwierz obrał sobie tam stałe siedlisko. Jeden Allach obliczyć jest wstanie, cośmy uciec musieli od takiego sąsiada! Ten zbójca o płowej grzywie ustawicznie broił w naszym obozie. Co noc, jak tylko ogniska gasnąć zaczynały, spuszczał się z góry, czasem sam, a czasem w towarzystwie swoich malców, których zaprawiał do rabunku. Zatrzymywał się na zakręcie tej drożyny, otwierał nozdrza i wietrzył na wszystkie strony, a przewąchawszy, gdzie bydło nocuje, przeskakiwał przez zagrody i z zadziwiającą zręcznością wykradał to konia, to krowę. Udusiwszy biedne bydło, powracał z niem do swego legowiska i tam dopiero z rodziną razem wyprawiał ucztę. Możecie sobie wyobrazić, w jakiej trwodze nieustanną było nasze plemię, póki trwała ta straszliwa klęska. Nam się zdawało, że ten zwierz jest niepokonany. Ryk jego, podobny do gromu, krew ścinał w żyłach. Nareszcie Allach zlitował się nad plemieniem Beni-Ussem; zesłał nam oficera francuzkiego i ten nas oswobodził od naszego wroga.

— To musiał być Gérard, sławny pogromca lwów — rzekł Jabób.

— Tak się nazywał rzeczywiście ten dzielny człowiek. Przybył do naszego obozu i rozpytałwszy się, którą drogą zwierz schodzi ze wzgórz, wziął kozę i uwiązał ją do drzewa o sto kroków od legowiska lwów. Sam zaś ukrył się za cyplem skały, trzymając w ręku wierny swój karabin. Czekał tam, aż się zupełnie ściemniło. Gdy słońce znikło na niebie, cień osłonił wzgórz i dolinę, gwiazdy zapaliły się na niebie, cisza zaległa ziemię. Lecz wnet ozwały się przeraźliwe wycia hyen i szakali, koza przestraszona zaczęła beczyć żałościwie. Nagle głos straszliwy dał się słyszeć, pan wielkogłowy wmieszał się do tego chóru. Usłyszał i zwęszył on kozę, podbiegł i chciał się rzucić na nią, gdy oficer francuzki odchylił cichutko gałązki krzaków, które mu zawadzały, podniósł lułę swojej strzelby i wymierzył w łeb zwierz. Rach ten był szybki i zręczny, lew jednak spostrzegł nieprzyjaciela i obaj zapałnicy zmierzili się wzrokiem, wyzywając się wzajemnie. Straszna to była chwila, śmierć groziła obu równo. Na szczęście człowiek ten obdarzony był nadzwyczajną zimną krwią, w jedném mgnieniu oka posłał kulę prosto w łeb potwora, pomiędzy błyszczące jego ślepie. Zwierz padł na miejscu, a jednak nim skonał, ozwał się raz jeszcze ryk jego straszliwy i przeciągłym cichem odbił się w ca-

łej dolince. Na ten odgłos, zapalone ogniska w obozie, pobiegliśmy tłumnie na wzgórze i przynieśliśmy na rękę z okrzykami radości zwłoki zwierz i dzielnego pogromcę jego.

— Ale cóż się stało z młodemi lwiatami? — zapytał Robert.

— Złapaliśmy je żywcem i zabraliśmy także do obozu, bo mało co były większe od zwyczajnych kotów. Co prawda, nie uszło nam to zupełnie na sucho, bo hultaje mieli już ostre zęby i długie pazury; pogryzły nas trochę i podrapały, aleśmy im jakoś dali rady. Odesłano je do Algeru, a z tamąd do Paryża, tam je wyhodowano i teraz podobno trzymane są w ogrodzie publicznym, wraz z innemi osobliwemi zwierzętami.

Abdallah zaprowadził swoich gości aż na wzgórze, gdzie się to wszystko działo przed laty, mogli więc sobie całe widowisko wyobrazić, jak gdyby na nie patrzyli. Dwa dni upłynęło jak jedna chwila na zwiedzaniu malowniczej okolicy, na oglądaniu różnych osobliwych płodów, tym strefom właściwych.

Po raz pierwszy młodzieńcy widzieli daleką, obcą krainę i mogli się przekonać własnemi oczyma, jak potężne są wpływy odmiennego klimatu na świat roślinny i zwierzęcy, a nawet i na samego człowieka. Gdy wieczorem zasiadali pod namiotem szejka, zdawało im się, że są przeniesieni w jakieś odległe starożytne wieki i mają przed sobą koczujące plemię z czasów biblijnych patriarchów.

Jeden Marek, który nie odstępował swoich towarzyszy i przypatrywał się wraz z nimi ciekawie wszystkiemu, kręcił jednak głową, wzruszał ramionami i wyraźnie okazywał pewne niezadowolenie.

— Co ci jest? — zapytał go raz Robert.

— Co mi jest? dobre pytanie; zły jestem i baśta.

— O cóż ci idzie.

— Łatwo się przecież domyślić; zły jestem i skwaszony, bo nie widzę tu ani śladu wielbłąda.

— No, no, poczekaj, przyjdzie pora i na to.

Podróżnicy nasi mieli dla siebie namiot osobny, i trzech niewolników do usługi. Arabowie umieją być gościnni.

Pewnego rana na progu ich namiotu odezwał się głos szejka.

— Panowie Francuzi — mówił sędziwy Abdallah — czy chcecie obaczyć coś bardzo ciekawego.

— Czyż można wątpić, że chcemy? — odrzekł Robert.

— A więc wstawajcie i ubierajcie się śpiesznie.

— Za chwilę będziemy gotowi.

— Czy słyszycie szmer i ruch niezwykle w obozie?

— Rozumie się, że słyszymy. I cóż to być może?

— Konie rżą niecierpliwie i zrywają się do biegu, psy ujadają na smyczy, ludzie czyszczą i gotują broń, najdzielniejsi nasi młodzieńcy wybierają się na łowy; będziemy tropili dziki.

A po chwili milczenia dodał:

— Czy chcecie wziąć udział w tém polowaniu, panowie Francuzi?

Odpowiedział mu okrzyk radości, chłopcy byli uszczęśliwieni.

— To dobrze — rzekł szejik — każe natychmiast posiodłać dla was dobre konie. A czy macie strzelby?

— Nie wybieralibyśmy się w drogę bez broni — powiedział Jakób — mamy wyborne strzelby, z najpierwszej fabryki francuskiej.

— Wszystko jest więc w porządku — mówił Abdallah — ale jeszcze słówko.

— Cóż takiego?

Arab spojrział trzem młodzieńcom prosto w oczy i rzekł:

— Naród wasz słynie z męstwa i nieustraszonej odwagi. Pamiętajcie jednak, że polowanie na dziki, to nie żarty. Niebezpieczeństwo jest wielkie. Czy żaden z was się nie ulęknie?

Trzej chłopcy jednogłośnie uczuciem wiedzy, wyprostowali się dumnie.

— Jestem chrestnym synem dzielnego kapitana korsarza! — zawołał Robert.

— Mój ojciec jest także odważnym marynarzem, wstydu mu nie zrobię — rzekł Henryk.

— A ja nie boję się niczego, tylko muzykantów i kijów — mówił Marek, a po cichu dodał: — Może też w końcu obaczę już wielbłąda.

III.

Przygotowania do łowów. — Baszy-buzuk. — Odpoczynek. — Walka. — Pies zabity i człowiek zraniony. — Na skraju lasu. — Bohaterstwo Roberta. — Wystrzał. — Zwycięstwo. — Dar przesłany kapitanowi Kormoranu. — Dalsza wyieczka. — Skargi Marka. — Krajobrazy afrykańskie. — Wielbłąd! — Miasto Bona. — Kawiarnia arabska. — Turek z Erzerum. — Czarownik i węże. — Sceny z życia na Wschodzie. — List do kapitana okrętu. — Droga do Tunisu.

Gdy Abdallah wyszedł z namiotu podróżników wraz z Jakóbem i młodymi jego towarzyszami, na placu przed namiotem uwijała się gromadka Arabów, trzymających za cugle piękne wierzchowce. Najdzielniejsi ochotnicy z plemienia Beni-Ussem wybierali się na tę wyprawę, wszyscy czekali tylko skinienia wodza, aby wsiąść na koń i wyruszyć w drogę. Wszyscy mieli na sobie białe,

fałdliste burnusy i także zawoje na głowie. W stroju tym wyglądali bardzo okazale i malowniczo.

Na skinienie szejika, słudzy przyprowadzili cztery konie osiodłane dla naszych podróżnych.

— Oto są wasze wierzchowce — rzekł do nich Abdallah — konie te, jak wszystkie arabskie, trzymają się zwykle stada, nie uniosą was zatem daleko od reszty myśliwych. Będziecie przejeżdżali przez okolice nieznane; gdyby który z was, w skutek jakiejś nieprzewidzianej przyczyny, stracił z oczu gromadkę jeźdźców, niech się nie obawia zabłąkania, bo koń z pewnością powróci do swoich.

— To mi się podoba — rzekł Marek, który nie miał wcale ochoty błądzić w nieznanym kraju.

— Czy macie broń w pogotowiu, czy na niczem wam nie zbywa? — zapytał jeszcze Abdallah.

— Jesteśmy w porządku — odrzekł Jakób, który miał oko na wszystko.

— Niechże was Allah ma w świętej swjej opiece, a Prorok niech was za rękę prowadzi! — powiedział szejik na pożegnanie.

Wszyscy, którzy mieli należeć do wyprawy, wsiedli na koń żwawo, a nasi młodzieńcy nie dali się wyprzedzić Arabom. Chociaż wychowywali się na marynarzy, Robert i Henryk umieli dobrze trzymać się na koniach. Stary Jakób, pamiętając o rozwijaniu sił fizycznych i zręczności swego wychowawcy, nie zaniedbał i konnej jazdy, a ojciec Henryka trzymał konie, na których chłopak często uganiał po wybrzeżu. Marek najmniej z nich wszystkich miał do czynienia z końmi, ale i on, wędrując z muzykantami cyganami, którzy są wszyscy koniarzami, nieraz miał sposobność przejechać się oklep na jakiejś szkapie, i teraz więc bardzo zręcznie wskoczył na spokojnego i łagodnego arabczyka. A tak, mała gromadka Francuzów wcale nieźle wyglądała przy sławnych jeźdźcach pustyni i nie pozostała w tyle, gdy się ozwało hasło do odjazdu.

Hasło to dane było przez naczelnika wyprawy, który objął dowództwo nad oddziałem myśliwych. Człowiek ten był to Arab rodem, służywał on wojskowo w Turcyi europejskiej, gdzie należał do tak zwanych baszy-buzuków *). Zachował dotąd strój, który nosił w tych czasach. Miał duże czarne oczy, włos długi, wąsy zawiesziste i bardzo mu było do twarzy w wysokim, stożkowatym zawoju.

Nazywał się Derwisz-el-Eddin.

— Naprzód! — zawołał po arabsku — a trzymajcie się wszyscy razem.

Zapomnieliśmy wspomnieć, że do gromadki

*) Baszy-buzuki, wojsko tureckie nieregularne, złożone z ochotników, zazwyczaj różnych włóczęgów.

jeźdźców przyłączył się także przewodnik naszych podróżników, który pełnił przy nich obowiązki tłumacza.

— Dzik — mówił dalej Derwisz-el-Eddin — widziane były poza wzgórzami lwów, w lesie dębowym.

Jeźdźcy zwrócili się w stronę wskazaną.

Polowanie na dziki niemałe ma znaczenie w Algierze. Arabowie starają się wszelkimi sposobami wyniszczać te zwierzęta. Jeśli lew bydlę im pożera, dzik niemniej jest szkodliwy dla rolnika, gdyż wyjada świeżo zasiane ziarno po polach i niszczy zasiewy w samym zarodzie. Ruchliwe to zwierzę, uganiające ustawicznie wśród uprawianych gruntów, mnóstwo innych szkód wyrządza, gdyż wszystkie rośliny, jakie napotka po drodze, wyrывa, łamie i tratuje.

Niedziw, że plemiona rolnicze uporczywą prowadzą walkę z dzikami.

Myśliwi jechali tak blisko godzinę.

(D. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Nieraz, kochani czytelnicy, napotykanie w powiastkach opowiadania o chłopcach chciwych nauki, którzy o własnych siłach przewyciężają wszelkie trudności i przeszkody, i zdobywają sobie wyższe wykształcenie. Czytając to, niejeden z was zapewne uśmiecha się niedowierzając i myśli sobie, że autor zmyślił taką rzecz nieprawdopodobną, aby was do pilności w naukach zachęcić. Niedziw, że zdarzenia prawdziwe większe daleko wywierają na was wrażenie i skuteczniejszym są przykładem.

Otóż dziś podajemy wam taką wiadomość rzeczywistą, którą wyczytaliśmy w dzienniku pod tytułem „Słowo“, wychodzącym w Warszawie. Nie wątpimy, że i was także zdarzenie to zajmie i rozrzewni.

Przed trzema tygodniami zgłosił się do progimnazjum w Pułtusku kilkunastoletni młodzieniec, przybyły pieszo o mil kilkanaście, aż z za Łomży, w zamiarze złożenia egzaminu do klasy trzeciej. Nie mając żadnych funduszy — z 40 groszami w kieszeni, w bardzo nędznej odzieży — pod wieczór przybył do szkoły, z której wyjść nie miał gdzie! Przyjęty gościnnie przez równego sobie biedaka, stróża progimnazjum, zdał egzamin i w poczet uczniów klasy trzeciej zapisany został.

W parę tygodni dał się poznać profesorom szkoły, jako chłopiec zdolny i mający rzeczywistą ochotę do nauki. Znalazł też wkrótce i pomoc materyalną. Ziemianie z okolic Pułtusza, za staraniem zacnego pana A. W., przyrzekli łożyć w znacznej części na utrzymanie tego pilnego ucznia.

Mieszkańcy Pułtusza dopełniają reszty, zaopatrują go w książki, ubranie i pamiętają o wszystkich jego potrzebach. Progimnazjum pułtuskie liczy 220 uczniów, przeważnie synów drobnej szlachty i włościan. Pomiędzy nimi znalazłoby się wielu podobnych biedaków.

Iluż to zacnych i pożytecznych ludzi wyjdzie z czasem z tej szkoły, gdzie uboga młodzież tak umie cenić pracę i naukę.

S Z A R A D A (Rózia D.).

Drugiego z trzecim: gdy nie mam na nodze,

Drugą pierwszą chodzę —

Wszystko, raz w tydzień od świata początku

Po każdym jest piątku.

Łamigłówka głoskowa (Z. W.).

aia ieooa iei oy oe

e iia ieaaę ie ieię oe

iaae iey ęa oo ieoa

a oio ieęy ea ię aay.

Dodawszy do tych samogłosek brakujące spółgłoski, otrzymamy strofę z Trenów Kochanowskiego na śmierć Urszulki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

Szarady:

Ka — ro — li — na.

Łamigłówki w kwadraciku:

M	A	R	E	K
A	Z	O	R	A
R	O	M	A	N
E	R	A	S	T
K	A	N	T	Y